Nr. 17. We Lwowie dnia 29. kwietnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Ocknienie.

Dramat w 3-ch aktach

przez

Dr. Kazimierza Rakowskiego.

Nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego 1900 roku.

Akt II.

W domu Beńkowskich w Księżopolu. Scena przedstawia pokój, sąsiadujący z pokojem, w którym złożono na tymczasowym katafalku ciało zmarłego Stanisława Beńkowskiego

SCENA I.

(Mateuszowa — stara klucznica w domu Beńkowskich — ocierając łzy fartuchem, opowiada księdzu o śmierci Beńkowskiego).

Mateuszowa. I tak — oto — życie — położył — nasz ko-kochany panisko... Właśnie wracam ze śpichlerza, gdy tu słyszę: we dworze rejwach i rwetes, bieganie, wołanie, krzyki. Co się stało? Wchodzę do pokoju pana — a on — on — kochany nasz pan, co nas wszystkich powinien przeżyć — przy biurku — blady — bez ruchu. Tylko krew strumieniem sączy się na podłogę, a z ręki, co mu zwisła nadół, wypadł rewolwer. „Doktora — doktora!“, krzyczą — bo pan żył jeszcze... Pani mdleje — a zanim go ułożyli na kanapie — ja już pobiegłam po księdza. Spotkałam księdza wikarego, był czas jeszcze, on był przytomny, pogodził się z Panem Bogiem — ale już nic mówić nie mógł... Panią za rękę uścisnął, dzieci pogłaskał po głowie, a mnie to tylko wzrokiem dzię-dziękował... (płacze).

Dziekan. Niech spoczywa w pokoju.

Mateuszowa. A pani! Chryste Jezu, co to się działo, jak pan oczy zamknął...

Dziekan. A cóż z wami teraz stanie, Mateuszowa!

Mateuszowa. O mnie to mniejsza. W chałupie się urodziłam, i byle dach nad głową był, to i dobrze. Ale paniusia nasza i dzieci! Mój Boże, na co to zeszło. Jak Księżopole sprzedadzą, co to z nimi się stanie! Panisko nie mógł przeżyć tego, aby obcy mieli gospodarzyć tam, gdzie jego ojca i matki kości spoczęły...

SCENA II.

(Wchodzi Malczewski senior).

Malczewski. Witam księdza dziekana. Na żałobnym spotykamy się gruncie. (Do Mateuszowej). Gdzie pani?

Dziekan. Witam. Witam. Dobrze, że pan przyszedł. Musimy pogadać, co począć.

Mateuszowa (wskazując na przymknięte drzwi do drugiego pokoju). Tam, przy panu.

Malczewski sen. Smutnych doczekaliśmy się czasów. Jeśli tacy ludzie, jak Staś, poddają się rozpaczy...

Dziekan. Byli już i dawniej tacy — a przecież żyjemy...

O czem innem chciałem z panem pomówić. (spoglądając na Mateuszową) Moi złoci, zajrzyjcie do pani. Może zechce tu przyjść. Prosimy o chwilę rozmowy.

(Mateuszowa wychodzi. W chwili, gdy ona drzwi uchyla do drugiego pokoju, widać katafalk, obstawiony świerkami i jarzącemi świecami. W głębokiej zatopiona modlitwie klęczy przy katafalku wdowa).

SCENA III.

Dziekan. Musimy pomyśleć o daniu pomocy. Kiedy termin sprzedaży?

Malczewski sen. Za parę tygodni. Mało czasu, aby zebrać jakiś fundusz ratunkowy.

Dziekan. Mam coś na myśli. Możnaby część później rozparcelować, ale trzeba stanąć do licytacji. O tem musimy pomówić z wdową. Na pańską pomoc liczę.

Malczewski sen. Kolegą szkolnym nieboszczyka jestem, księże dziekanie.

Dziekan. A wreszcie jeszcze jedno. Na parę dni przed tym nieszczęsnym wypadkiem złożył pan Stanisław na moje ręce zapieczętowany list — na wypadek swej śmierci. Przyjąłem — nie przeczuwając, co zamierzał. Chcę oddać wdowie.

(Wchodzi Mateuszowa, zamykając drzwi za sobą — po cichu).

Mateuszowa. Proszę księdza dziekana — ja nie śmiałam. Pani się nie odezwała na moje słowa — a twarz ma spokojną, patrzy w twarz pana i tylko jej łzy, jak grad, padają w trumnę... Ja nie śmiałam jej przeszkadzać.

Malczewski sen. (do księdza). To poczekamy chwilę. (Do Mateuszowej). Możecie iść.

(Mateuszowa odchodzi).

Malczewski sen (do księdza). Więc sądzę, że i z planami naszymi co do uratowania Księżopola zaczekać trzeba będzie, aż się dowiemy, co ta ostatnia wola nieboszczyka zawiera. Wykonanie jej będziemy zresztą mogli złożyć w ręce brata.

Dziekan (zdziwiony). Brata? Profesora? Jakto — czy przyjedzie?

Malczewski sen. Już przyjechał. Jest w Księżopolu. Byłem przed chwilą na dworcu, oczekując mego syna z Berlina — notabene nie przyjechał — gdym spotkał przy wyjściu jakichś państwa. Już familijne podobieństwo mnie uderzyło. Słyszę: pytają się, którędy to do księżopolskiego dworu. A że mi pani Stanisławowa wspomniała o depeszy, podanej do profesora Beńkowskiego, więc tedy nie tracąc czasu zapytuję i rzeczywiście trafniem odgadł. To był on, z żoną, z córką. Przez delikatność, a może i wstyd — bo to Niemki — nie chciał iść odrazu tutaj z niemi: wpierw miał żonę i córkę ulokować w zajeździe. Za chwilę tu będzie.

Dziekan. No, to dzięki Bogu! Skoro jest — więc swój, a nie odszczepieniec. Może się i mylił nieboszczyk Stanisław, gdy go posądzał o to, że się wyparł polskości.

Malczewski sen. Pisałem nawet w tej sprawie do mego syna do Berlina: miał być u profesora, aby się przekonać, co to za zacz, ale odpowiedź jeszcze nie nadeszła. (Pukanie do drzwi).

Malczewski sen. Prosimy.

(Wchodzi profesor).

SCENA IV.

Malczewski sen. A, otóż i pan profesor. Właśnie przed chwilką tu przyszedłem i zapowiedziałem bytność pańską. Ksiądz dziekan pozwoli: pan profesor Beńkowski.

Dziekan. Wśród smutnych okoliczności zobaczył pan po długiej niebytności swe strony rodzinne.

Profesor. Wiadomość o śmierci Stanisława spadła na mnie, jak grom.

Dziekan. Nic dziwnego, panie profesorze, że tu — na tej ziemi — gromy padają, bo atmosfera przeładowana elektrycznością. Nie zna pan tutejszych stosunków, ale je pan może pozna.

Malczewski sen. Tak, tak, profesorze. Bawiąc gdzieś tam het nad Renem, nie zwracał pan może uwagi na tę straszną walkę, jaką my tu musimy toczyć w obronie każdej piędzi ziemi...

Profesor. Gdzież jest nieboszczyk? Gdzie pani domu?

Dziekan. A ot czekamy na nią. Jest przy trumnie (wskazując gestem ku drzwiom). Poczekamy jeszcze chwilę...

Profesor (siadając). I jakiż (z wahaniem) był powód nieszczęsnego kroku mego brata?

Malczewski sen. Księżopole wystawione na licytację: wszelkie środki ratunku wyczerpane. Musiał zejść z wyłomu, lub paść na nim: wybrał to ostatnie.

Profesor. A cóż — cóż teraz — się ma stać — z Księżopolem?

Dziekan. Jeżeli jakieś nadzwyczajne sposoby ratunku się nie znajdą, to stanie się nieuchronnie to, co się stało z tylu innemi: pójdzie w ręce rządowej kolonizacji.

Profesor. I panowie to uważaliby za wielką stratę, nieprawdaż?

Malczewski sen. Za stratę?! Za hańbę raczej! A pan nie?

Profesor. O, panowie, tu o mnie wcale nie chodzi, ani o to, co ja myślę. Mam pewne obowiązki — a przynajmniej zdaje mi się, że je mam — i chciałbym się z nich wywiązać w sposób najlepiej odpowiadający celowi. Więc dlatego pytam.

Dziekan. Zamierzamy sprzedaż przymusową przez spłacenie raty zażegnać, aby choć część, jeśli się da, rozparcelować. Wszak liczyć możemy na pańską pomoc, jako pomoc najbliższego z rodziny?

Profesor. Ja tu przyjechałem właściwie z gotowym projektem, który chciałbym przedłożyć bratowej: z projektem zupełnego zaopiekowania się nią i dziećmi.

Malczewski sen. A ziemia?

Profesor. Jakto ziemia?

Dziekan (spoglądając na niego). Pan dawno już u nas nie był w kraju?

Profesor. Dwadzieścia lat przeszło.

Dziekan. To pana w zupełności tłómaczy: bo my tu mówimy o obowiązkach nietylko wobec ludzi, ale i wobec ziemi...

Profesor. O, jako Polak, ja to bardzo dobrze rozumiem i od akcji ratunkowej zbiorowej się nie uchylam, pod warunkiem wszakże — że — że mój udział pozostanie tajemnicą.

Malczewski sen (ściskając dłoń jego). Dziękuję w imieniu nieboszczyka. Żyliście z nim wprawdzie w nienajlepszej zgodzie, ale w takich okolicznościach wszystko się zapomina. Ale dlaczegoż pan chce pozostać w cieniu? Wszak czyn pański będzie najlepszem świadectwem pańskich uczuć polskich i zada kłam tym, co sądzili... (urywa nagle na znak dziekana).

Dziekan. Tak, panie profesorze. Cieszymy się, że pana tu niebrak w chwili, gdy rozstrzygać się będą losy Księżopola. Nie oddamy w niemieckie ręce tej ziemi...

Profesor. Proszę panów, przepraszam, że przerywam, ale chciałbym zwrócić uwagę na to, że moja żona nie jest Polką, — jest Niemką — więc niech panowie przynajmniej przy mnie, przez wzgląd na to, o naszych współobywatelach niemieckiej narodowości nie wyrażają się w sposób, któryby w danym razie...

Malczewski sen. (przerywając mu). Pojmujemy w zupełności skrupuły pana profesora.

Profesor. Tak, tak, panowie. Bądźcie łaskawi uważać mnie za Polaka...

(wchodzi młody Malczewski, a za nim Szymek).

SCENA V.

Dziekan (do starego Malczewskiego, który nie dostrzegł wejścia syna).

Panie Janie, wasz syn przyjechał (do młodego, podając mu rękę). Prawdziwa niespodzianka dla ojca.

Malczewski sen. Więc jednakowoż przyjechałeś. Jak się masz, mój chłopcze. — Pan profesor pozwoli, że przedstawię mego syna...

Młody Malczewski (witając się z profesorem, który widocznie jest zmieszany przybyciem Malczewskiego). O, my się już znamy. Miałem przyjemność być u profesora.

Dziekan (do młodego). Profesor właśnie nam oznajmił, że zamierza przyczynić się do uratowania Księżopola od sprzedaży na rzecz kolonizacji...

Młody Malczewski (ze zdziwieniem). Profesor? Czy tak? — A, byłbym zapomniał, dziwnie się składa: bo oto jest tu ów zbłąkany wędrowiec, dla którego na moje ręce profesor złożył pewną kwotę... (zwracając się do Szymka). Szymek, oto jest pan profesor, który dał dla ciebie dwadzieścia marek na powrót z Berlina.

Szymek (zbliża się do profesora i poważnie podaje mu rękę). Niech Pan Bóg wynagrodzi...

Profesor (zdziwiony trochę tym rodzajem podziękowania). Więc pan tak tęsknił do kraju?

(Szymek nie odpowiada i w milczeniu łzę ociera rękawem).

Młody Malczewski. Nie byłby jeszcze wrócił z Berlina — ale gdy się dowiedział odemnie o śmierci pana Stanisława, błagał mnie na wszystko, aby go zabrać ze sobą. Jechaliśmy więc obaj czwartą klasą. Dlatego mnie ojciec na dworcu nie spotkał.

Szymek (ze łkaniem w głosie). Księżopolski dziedzic nieboszczyk był dobrodziejem nas wszystkich... Takich ludzi dziś już niema. Choć grudkę ziemi na grób jego rzucić chciałem...

Dziekan. Powróciłeś tu więc na stałe! (Szymek potakuje głową). Dobrze — to przyjdźże do mnie jutro rano. Pomówimy.

Młody Malczewski. Profesorze, czy pan nie sądzi, że zapracować sobie na taką pamięć (wskazuje ruchem głowy na Szymka) i wdzięczność u swoich, których obcy uważają za parjasów — to większe dzieło, niż zaimponować obcym swą wiedzą?... (do ojca, nie czekając odpowiedzi profesora). Gdzież biedna pani Stanisławowa?

Malczewski sen. Zaraz przyjdzie. (do profesora) A pańskie panie, profesorze?

Profesor. Miały tylko ubranie podróżne zmienić na żałobne. Zapewne też zaraz przyjdą. (do młodego Malczewskiego) Proszę pana — zapomnijmy o naszej rozmowie — wtedy...

Młody Malczewski. Zapomnę — na życzenie. Żywi zapomnieć mogą, ale czy można wymazać coś z pamięci, którą umarli ze sobą zabrali do grobu?

Profesor (blednąc). Czy pan — czy pan co wie? Pan mówił — wtedy — ze mną o moim bracie, o Stanisławie...

Proszę, niech pan powie...

Młody Malczewski. Ja nie wiem — ja się domyślam.

Profesor. Oh, gdyby pan wiedział, jaką mi pan sprawił boleść. Sam domysł taki jest już znęcaniem się...

Dziekan i Malczewski sen. (Słysząc jakieś niejasne dla nich zajście, zbliżają się żywo do profesora). Co panu? co się stało?

Profesor. Nic, nic. To minęło. Chwilowa słabość. Nic więcej.. — (szuka kapelusza). Muszę wyjść. Tutaj mi jest tak duszno.

Malczewski sen. Pan wychodzi?

Profesor. Nie mogę, nie mogę tu dłużej... Wracam pierwszym pociągiem. Po mnie tu nic. Ci, co z kraju raz wyszli, niech lepiej nie wracają. (do Szymka). A tyś powrócił — i dobrze ci tu? Chcesz zobaczyć martwą twarz dawnego pana? Zrób tak, jak ja, uchodź! Tam u trumny napotkasz tylko same wyrzuty, dlaczegoś z nim nie pozostał.

Szymek. Nasz drogi pan, gdyby żył, pewnieby powiedział: Pawlik, dobrześ zrobił, żeś wrócił.

(C. d. n.)

Przedwiośnie.

Lekki dreszcz wzdłuż po ciemnym przebiega cyprysie
I przeczuć lękiem wstrząsa rdzeń sennego łona.
Przedemną — dzień w oparach przedwieczornych kona
W mrok liljowy spowity; i nagle zda mi się,

Że przez eter mdłej barwy widzę świat przejrzyście
W kryształne mnie objęcie garnący po cichu,
Żem pyłem, co gdzieś na dnie ostał się w kielichu
I w ogromnym, świetlanym więźnie ametyście.,.

Budzi się wiosna! Wstaje krzepka — urodziwa,
Strojna w młodość i bujne ros wieczornych szkliwa,
Butnem życiem tętniąca pod prętów pąkowiem.

Przedwiecznym czarem można! Jak szczęście nietrwała,
Coś tak nagle w mych oczach po śnie długim wstała
Wyjaw mi sny twe, wiosno! Co znaczą — opowiem!

Zawrat.

Z Syberji i Kamczatki.

Gerwazy Gzowski.

Dokończenie.

Po całorocznej podróży pieszej internowano Gzowskiego w zakładzie karnym, w Siwakowej nad rzeką Ingodą. Tu zbudował sobie ziemiankę i w niej zamieszkał z kilkoma ze swoich znajomych młodszego wieku: inżynjerem Żabickim etc. Urządziwszy się sam i dając przykład innym do urządzenia się możebnie dogodnego w warunkach ówczesnych, zajął się kształceniem kolegów wygnania, za jego inicjatywą powstawały: pogadanki, biesiady, odczyty naukowe, wykłady systematyczne przedmiotów rozmaitych: założono następnie szkółkę elementarną dla analfabetów szkółkę rzemieślniczą etc., słowem, starano się zająć umysły rozgoryczone i tęskniące za krajem, pracą poważną w różnych kierunkach. Powagą swoją i taktem umiał Gzowski powstrzymać natury, skore do czynu i krewkie od wybryków, szkodliwych dla wygnańców i dla sprawy narodowej. Gdy pozwolono zesłanym do robót ciężkich budować domy i przyrzeczono im pobyt dłuższy na miejscu, gdzie się zagospodarowali, Gzowski wspólnie ze swymi przyjaciołami bliższymi, zbudował dom i zajął się uprawą roli i ogrodu komunalnego, atoli nie dotrzymano przyrzeczenia, musiano więc porzucić całe gospodarstwa, nieraz kosztowne i przenieść się z Zabajkalja do gubernji Irkuckiej. Gzowski uzyskał pozwolenie na pozostanie w mieście i tu zajął się handlem, sprzedawał artykuły spożywcze w małym kramiku, położonym na jednej z bocznych ulic Irkucka, wszedł w bliższe stosunki ze swoją, przeważnie ubogą klientelą; biednym sprzedawał towar po cenach zniżonych, miał dla nich kredyt otwarty, a gdy mu sprzedaż, którego tygodnia dopisała, kreślił w niedzielę należność dłużników niezamożnych. Mając obszerne znajomości w mieście, załatwiał tam interesa licznych swoich przyjaciół zamiejskich, był zawsze czynny i pełen poświęcenia, znali go wszyscy na mieście, a szczególniej wszyscy rodacy nasi.

Przeniesiony do gubernji Rosji europejskiej, długo się tułał po obczyźnie, aż się doczekał chwili, gdy pozwolono na powrót do Warszawy; przybył schorowany i mocno osłabiony na zdrowiu, dwa ostatnie lata swego żywota przeleżał obłożnie chory. Gasł powoli na łonie przyjaciół i rodziny, kończąc swój żywot szlachetny, którego promienie świetlane wplatają się w aureolę męczeńską, zdobiącą skronie nieśmiertelnej rodzicielki naszej — ojczyzny. Przeminą wieki, zgasną narody, ale imiona ludzi poświęcenia jaśnieć będą zawsze w koronie zasług ludzkości, blaskiem nigdy niespożytym. Gdybyśmy dzisiaj, jak się już teraz liczymy na miljony, potrafili wszyscy dorównać miłością, poświęceniem, prawością charakteru, hartem ducha i energją, naszym niedawnym poprzednikom, gdybyśmy umieli żyć tak godnie, jak oni żyli, mielibyśmy już dawno ojczyznę wolną. Ukochać bogactwo ducha tak gorąco jak miłować się zwykło bogactwo materjalne, wyrzec się kart, wina i wódki, nauczyć się miłować bliźnich, zaniechać fanatyzmu wszela-

kiego, mieć stale dobro ojczyzny i ludzkości na myśli, — oto jest droga do wolności. Godzić zaś miłość ojczyzny z życiem w nieprawościach jest bluźnierstwem, zasługującem na najenergiczniejsze potępienie. Kto nie umie być uczciwym w życiu, ten kochać ojczyzny nie potrafi — próżna obłuda. Do czynów szlachetnych i podniosłych trzeba mieć ręce czyste, umysł prawy.

Dr. B. Dybowski.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

w idei a w rzeczywistości.

Już od najdawniejszych czasów utrzymują myśliciele, że sprawiedliwość jest niewiastą, wielce kapryśną, gdyż obdarza względami swymi głównie tylko ulubieńców swoich. Ale ulubieńców tych wybiera ta niewiasta najczęściej tylko z pewnych klas społecznych. Zresztą nawet rasa tych ulubieńców odgrywa pewną rolę, tudzież ich zapatrywania metafizyczne. Dlatego też narzekają wielbiciele Temidy, że ludzie obchodzą się z tą boginią nielitościwie, gdyż wypędzają ją z jej świątyń i zmuszają wieść życie tułacze. Nasuwa się tedy pytanie, czy narzekania te są uzasadnione?

Na to pytanie daje odpowiedź owa umiejętność, która się niem szczegółowo zajmuje, t. j. socjologja kryminalistyczna*). Wykazuje ona, że powodem wspomnianych narzekań jest ta okoliczność, iż ludzie nie odróżniają sprawiedliwości ziemskiej od sprawiedliwości bezwzględnej. Sprawiedliwość ta jest ideałem, który ludziom przyświeca i do którego oni powoli zbliżyć się usiłują. Zanim jednak to nastąpi, mamy tymczasem tylko z ludzką sprawiedliwością do czynienia. Ta zaś jest pojęciem względnem, bo co jedni nazywają sprawiedliwem, to wydaje się innym być niesprawiedliwem. Na dowód przytoczę tylko kilka przykładów z historji najnowszej.

O Dreyfusie utrzymują jedni, że jest on ofiarą intrygi i justycji wyznaniowo-rasowej; inni zaś twierdzą, że zasądzono go całkiem sprawiedliwie. O owym generale, który w tem zasądzeniu główną odgrywał rolę, utrzymują jedni, że zawdzięcza on tylko justycji klasowej, iż nie siedzi tam, gdzie według sprawiedliwości bezwzględnej już od dawna siedzieć powinien. Inni zaś twierdzą, iż z generałem tym postąpiono całkiem sprawiedliwie, gdyż jest on niewinnym.

O przewodniczącym w procesie Zoli twierdzą jedni, że kierował rozprawami stronniczo i tendencyjnie, gdyż nie pozwalał obrońcy Zoli przeprowadzić dowodu prawdy. Czynił on to wprawdzie przez wzgląd na skompromitowanych generałów, ale czynił to z cynizmem tak oburzającym, że z rozpraw sądowych robił wstrętną karykaturę. Dlatego też twierdzą jedni, że przewodniczący ten deptał sprawiedliwość w sposób niesłychanie brutalny. Inni natomiast utrzymują, że on postępował całkiem sprawiedliwie.

Widzimy zatem, że na jedną i tę samą rzecz zapatrują się ludziska wręcz przeciwnie. Cóż jest powodem tej różnicy?

Jest nim prawo przyczynowości, das Causalitätsgesetz, a więc konieczność nieubłagana. Przyczyny zaś, składające się na tę konieczność, są w tym razie następujące:

Pierwszą przyczyną jest niejednakowe stanowisko patrzących i niejednakowy sposób zapatrywania. Na złoczyńcę np. i na jego czyny patrzą jedni okiem wolnem, drudzy zaś przez gęstą siatkę, utkaną z paragrafów prawie niezliczonych. Skutkiem tego ci drudzy nie widzą rzeczy w świetle naturalnem, stąd też nie mogą sądzić ściśle przedmiotowo.

Między wspomnianymi paragrafami są także takie, które się odnoszą tylko do formalności postępowania sądowego. Ta formalność jest wpra-

*) Jest to, jak wiadomo, najnowsza gałęź socjologji, a w skład tej gałęzi wchodzą, oprócz antropologji kryminalistycznej, jeszcze społeczna filozofja, społeczna etyka, dalej nowoczesna, tj. na socjologji oparta filozofja prawa i historja sądownictwa.

dzie potrzebną, ale cóż z tego, kiedy i na nią zapatrują się ludzie rozmaicie. Jedni uważają formalność tylko za środek do celu, bo wiedzą, że nad paragrafami formalności unosi się duch prawa, jako idea sprawiedliwości. Drudzy zaś uważają formalność za cel, i dlatego na niej, a nie na logice opierają rozumowania swoje. Dowodem tego jest fakt następujący:

W liście, pisanym do Faura, wykazał Zola jak na dłoni, że „męczennika z wyspy djabelskiej“ zasądzono niesprawiedliwie, gdyż uczyniono to na podstawie intrygi antisemitów. Zamiast więc uczynić bez zwłoki to, co nakazuje i logika i sprawiedliwość i ludzkość, tj. zająć się rewizją, zastanawiali się Francuzi niemal przez rok nad tem, czy formalność zezwala na rewizję lub nie, zamiast, powtóre, pochwalić Zolę za to, że się ujął za niewinnym, prześladowali go jego rodacy i mścili się na nim tak srodze, że musiał opuścić ojczyznę i szukać schronienia u obcych. Całe to postępowanie Francuzów sprzeciwia się tak stanowczo i sprawiedliwości i zwykłemu rozumowi ludzkiemu, że przyszłe pokolenia będą je uważać może za bajkę.

Także na karę, ograniczającą osobistą wolność złoczyńczy, zapatrują się ludzie wręcz przeciwnie. Jedni bowiem uważają tę karę za cel i dlatego są za wypuszczeniem złoczyńcy na wolność, jeśli nie można go karać, tj. jeśli obrońca jego przedłoży świadectwo, czyniące ze złoczyńcy istotę niepoczytalną. Inni zaś uważają ograniczenie wolności tylko za środek do celu, tj. do uczynienia złoczyńcy nieszkodliwym. Dlatego też twierdzą, że właśnie niepoczytalnych złoczyńców nie powinno się wypuszczać na wolność, gdyż takowi są dla społeczeństwa jeszcze niebezpieczniejsi, niż złoczyńcy poczytalni.

Dalej twierdzą ci sami, że zwyczaj puszczania na wolność złoczyńców, wykazujących się świadectwem niepoczytalności, przynosi społeczeństwom jeszcze inne niekorzyści. Tworzy on, po pierwsze ową wygodną furtkę, przez którą sprytniejsi złoczyńcy wymykają się z rąk sprawiedliwości. Zwyczaj ten sprawia, powtóre, że społeczeństwa nie troszczą się o niepoczytalność moralną, chociaż codziennie doświadczenie poucza, że moralnie niepoczytalni złoczyńcy są i liczniejsi i niebezpieczniejsi. Zwyczaj ten sprawia po trzecie, że społeczeństwa nie pytają o to, czy podsądny jest dla ogółu niebezpiecznym, lecz pytają zawsze tylko o to, czy jest winnym?

Drugą główną przyczyną, dla której ludzie niejednakowo zapatrują się na to, co jest sprawiedliwem, jest okoliczność następująca:

Wiadomo, że społeczeństwa, stojące już na pewnym stopniu kultury, posiadają żywe poczucie sprawiedliwości i kierują się niem w życiu społecznem. Istnieją jednak społeczeństwa, kierujące się tylko bezwzględnym egoizmem. Takie społeczeństwa, nie mają poczucia sprawiedliwości i nie mogą go mieć, gdyż egoizm bezwzględny jest, jak wiadomo, źródłem wszelkiej niesprawiedliwości na świecie. Ponieważ sprawiedliwość jest moralną podstawą społeczeństw, przeto społeczeństwa, pozbawione tej podstawy, są zdemoralizowane. Otóż społeczeństwa takie dopuszczają się licznych niesprawiedliwości, względem swych członków, ale niemoralność takiego postępowania nie dochodzi wcale do świadomości tych społeczeństw.

Podstawą sprawiedliwości jest prawda, bo światło prawdy sprawia, że wszystko staje się jasnem i wyraźnem. Ale niesprawiedliwych razi to światło niezmiernie. Dlatego też zakrywają oni prawdę i prześladują ją, skoro się tylko pokaże. Dla tej samej przyczyny prześladują oni także tych, którzy prawdę na jaw wyciągać usiłują. Za usiłowania tego rodzaju mszczą się niesprawiedliwie nielitościwie. Doświadczyli tego na sobie Zola i Picquart, chociaż właśnie tych dwóch należało już za życia ustawić na piedestalu, gdyż są to Francuzi, którzy jeszcze posiadają odwagę ujmowania się za ofiarami niesprawiedliwości.

Mimowoli zwracamy w tej chwili wzrok w czasy starożytnej Grecji i napotykamy tam ów fakt, który należy do najsmutniejszych w historji cywilizacji. Przed 25 wiekami bowiem prześladowali Ateńczycy Sokratesa za to samo przewinienie, za które dzisiejsi Francuzi Zolę prześladują, tj. za prawdę. Dwatysiącepięćset lat kultury nie sprowadziły tedy w tym względzie żadnego polepszenia i nie mogły go sprowadzić, bo prawda będzie zawsze kłóć w oczy tych, którzy idą drogą niesprawiedliwości.

Drugim z owych darów, którymi kultura ludzi obdziela, jest miłość bliźniego. Miłość ta jest matką uczuć najszlachetniejszych. W społeczeństwach jednak moralnie podupadłych miejsce miłości bliźniego zajmuje nienawiść. Takowa cofa ludzi na owo stanowisko, na jakiem stali w czasach przedhistorycznych, tj. przemienia ich napowrót w bestje drapieżne. Zbestwienie to, objawia się skłonnością do okrucieństw tak wyrafinowanych, jakich widownią były w naszych czasach policyjne aresztа w Samborze.

(C. d. n.)

Dr. Jasiński.

Polacy w Berlinie.

Dokończenie.

Aby do gromadzenia tych zasobów kolonję polską zachęcić, założono spółkę z ogran. poręką p. nazwą „S k a r b o n a“. Instytut ten przyjmuje depozyty (od członków Polaków) i wypożycza je na procent mało co wyższy (też członkom). Rozwój S k a r b o n y świadczy, jak urodzajną jest gleba, na którą padła ta trafna myśl założenia wśród grynderskiego Berlina — banku polskiego. W roku 1899 (bilans jeszcze ogłoszony nie został) miała Skarbona 208 tysięcy mk. obrotu, 88 tysięcy depozytów.

Depozyty te pochodzą prawie wyłącznie z klasy biednej, a przeciętna wysokość depozytu wynosi 400—500 mk.

Coraz częściej zachodzą wypadki, że przenoszący się do kraju wychodźcy za pośrednictwem Skarbony i swych znajomych berlińskich zbierają fundusze na założenie tam przedsiębiorstw.

A więc hasło brzmi: Najsilniejsze, najlepiej w swym zawodzie wykształcone jednostki niech wracają do kraju — w ten sposób niech się wypłaca emigracja za ubytek tysięcy wychodźców, dążących co rok na zachód.

Powracającym do kraju inna przytem jeszcze rola przypadnie w udziale, prócz tej, jaką im potrzeby ekonomiczne kraju nakreślą: będzie to rola natury społecznej.

Polska kolonja w Berlinie, jak i polska emigracja w całych Niemczech, składa się prawie wyłącznie z ludzi pracy, z ludzi, którzy wyrośli sami z siebie, nie wyniósłszy z kraju nic, oprócz pary zdrowych rąk. Trzy ćwierci tych ludzi, lub więcej może, ginie zupełnie dla kraju, rozpuszcza się gdzieś bez śladu w morzu niemieckiem. Elementy zdolniejsze organizują się i dochodzą do przekonania, że powrót do kraju nie jest mrzonką. Ludzie ci nabyli na obcym gruncie, wśród obcego otoczenia tej samodzielności poglądów, tej przedsiębiorczości, tej inicjatywy, której niższym warstwom mieszczańskim w Księstwie brak zupełnie. I pod tym względem więc ci ludzie mogą być dla kraju pionierami postępu, który tem szybciej posuwać się powinien, im jaśniej się zarysowuje przekształcenie się żywiołu polskiego w Księstwie z czysto-rolniczych form bytu w handlowo - przemysłowe, co w następstwie pociąga pewną ewolucję społeczną.

Taką jest rola, którą wychodźtwo berlińskie zamierza odegrać względem kraju. Na wiecu styczniowym b. r. dążenia te — dziś świadome i celowe — jasno sformułowanego doczekały się wyrazu.

Daj Boże, aby kolonja polska w Berlinie doczekała się urzeczywistnienia tych planów. Życzyć tego należy zarówno w jej własnym interesie, jak i dla dobra Księstwa poznańskiego.

Choćby przypływ samodzielnych i zasobnych wychodźców do kraju liczebnie był tysiąc razy mniejszy od zwykłego odpływu na emigrację, pod względem społecznym w zupełności wynagrodziłaby się strata, jaką kraj ponosi przez utratę ludności emigrującej. *R.*

Z pism i książek.

Jan Augustynowicz. Ksiądz Prot. Powieść nagrodzona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie literackim »Głosu«. Warszawa 1900 r.

Właśnie gdym zamierzał streścić wrażenia moje ze świeżo przeczytanej książki J. Augustynowicza, spotkałem się w jednem z pism warszawskich z oceną »księdza Prota«. »Drażliwy obrał sobie temat autor«, pisze na samym wstępie swej krytyki referent. Uwaga trafna i trudno od niej nie zacząć sprawozdania. Historja romansu pomiędzy młodym księdzem — wikarym, a panną na wydaniu, nie jest tematem powszednim, o tej szarej, przeciętnej, ze wszelkiemi konwencjonalnościami liczącej się powszedniości; jest to temat »drażliwy«, choćby romans nawet nie odgrywał się na francuski sposób w półcieniu buduarów i alkow, lecz w pełnem oświetleniu dusz i uczuć, mającem źródło w szamotaniu się natury szlachetnej z namiętnością, która

niewiedzieć skąd przyszła i dokąd silna będzie zaprowadzić swe ofiary.

Temat drażliwy. Będzie on bezwątpienia tytułem potępienia, które z pewnych sfer padnie na książkę J. Augustynowicza; lecz będzie on dla autora również tytułem pewnego uznania, którego mu nie odmówi nikt, ma się rozumieć, nie za tę drażliwość, lecz za to, że ująwszy taki temat, traktował go najzupełniej z artystycznego punktu widzenia, unikał wszelkiego paktowania z konwenansami, przedstawił życie tak, jak je widział, a jeśli mu się ono przedstawiło w nagości posągu greckiego, nie starał się przyodziać tej nagości w trykoty, nie rozsiał po książce półcieniów, domyślników, niedomówień. I ten właśnie sposób traktowania przedmiotu nadaje jego książce ton szczerości; ból tam jest bólem, a nie zawiedzoną zmysłowością; namiętność jest namiętnością, żywiołem, siłą — a nie chucią; światła i cienie rozdzielają się w kompozycji prawidłowo; po za romansem ukazuje się, jakby tło psychologiczno - filozoficzne: pasowanie się człowieka z silniejszą od niego żywiołową siłą; po za historją jednostki — tło społeczne, psychologja całego środowiska, w którem ten człowiek przebywa i stosunku, w jakim doń pozostaje.

To też nie perypetje romansu księdza Prota z bogatą »dziedziczką« są rzeczą ciekawą w tej książce; historja to, abstrahując od duchownej sukienki bohatera, bardzo prosta; — poznali się, on, ksiądz asceta, ona, trochę zalotnica — i pierwsze wrażenie, jakie na sobie nawzajem wywarli — było wrażeniem antypatji.

Potem dopiero ta antypatja przerodziła się w uczucie, którego głębokości i istoty *u niej* autor nam nie pokazał, które zaś *u niego*, jak przeładowana elektrycznością chmura spotyka się z drugą chmurą, z poczuciem obowiązku, z sumieniem, z wolą, z całym charakterem. I burza szaleje w sercu biednego. Zamykając książkę po przeczytaniu, pozostajemy w nieświadomości losów obojga kochających się istot; pozostawiamy księdza Prota, gdy ze łzami zalaną twarzą padł złamany bólem i wewnętrznem szamotaniem się ze sobą przed krzyżem. Autor sądził, że w tej godzinie kajania się doprowadził naprężenie uczuć w duszy księdza Prota do zenitu — i tu książkę kończy. Świadczy to, że nie zamierzał on gonić za efektownemi scenami romansu, upiększonego tem, że księdzem jest bohater — to też zawód czeka każdego, kto sądziłby, że w książce Augustynowicza znajdzie opisy sytuacji, pociągające swą pikantenrją. Jak powiadam, sam romans jest właściwie rzeczą poboczną. Na pierwszym planie stoi historja wewnętrznej walki duchowej, — a na wstępie — dramatyczna w swej realnej prawdzie, nieraz nawet karykaturalna charakterystyka sfery, do której z tytułu swej duchownej sukni, choć nieskończenie wyższy duchowo, ksiądz Prot się zalicza.

Bardzo plastycznie zarysowują się przed nami postacie proboszczów wiejskich w ich domowem wiejskiem zaciszu, w stosunkach z ludem, na odpustach, na pijatykach.

Niski umysłowy poziom, oschłość serca, poziomość ducha, zasklepienie się w ciasnem kółku materjalizmu — wszystko to kreślone śmiałemi rzutami, często z pewnem zabarwieniem karykaturalnem.

Tyle o temacie, kompozycji artystycznej i sposobie traktowania przedmiotu.

Ale krzywdę by zrobił bezwątpienia autorowi krytyk, który chciałby pominąć jeszcze jedną rzecz, niezmiernie rzucającą się w oczy. Oto wprost niesłychane niedbalstwo w stylu i w zachowaniu czystości języka. Książka p. Augustynowicza jest poprostu naszpikowana archaizmami, użytymi zupełnie nie w porę, germanizmami, które w ostatniej korekcie książki mogły i powinny były być usunięte, wulgaryzmami, które mają imitować jędrność gwary ludowej, wreszcie nowotworami, bardzo nieudatnie, lub wręcz sprzecznie z duchem języka stworzonymi. Wszystko to razem wziąwszy, daje pewną oryginalność stylu, ale oryginalność odpychającą. Śmiać nam się chce, gdy spotykamy np. takie zwroty: »Czasami, bardzo rzadko zresztą i na niego nadchodziły, jakby refleksji: a nuż, a może... Ale cóż«!

Przyznam się, że z tej charakterystyki, ani treści, ani kierunku owych refleksji wcale nie odgaduję. »A nuż, a może, ale cóż« — jest to strasznie mało, nawet dla czytelników, obdarzonych stokroć większą intuicją od mojej, przeciętnej.

Zwroty, jak poniższy, ogromnie psują artystyczne wrażenie i wprost denerwują czytelnika: »A jednak ten młody wikary zdawał się być sfinksowatym«.

Nie mogę się wdawać w szczegółowy rozbiór książki co do jej stylistycznej strony; z nowotworów, sprzecznych z duchem polskiego języka wskażę tylko usilne próby posiłkowania się imiesłowami w trybie biernym od czasowników, które takich imiesłowów wcale nie mają. Np. czytamy tam o »zbożach, falowanych lekko podmuchami wiatru«. O ludziach, którzy siedzą naprzeciw siebie milczący«, o dziewczęciu, które »dwa razy widziane«, o winie, »które trzymane w ręce, rozlało się«, a księdzu, który »już odjeżdżający, żegna się«.

Czasownik »uzurpować« odmienia p. Augustynowicz tak: uzurpowywam, uzurpowywasz, uzurpowywa. To »uzurpowywa«, od którego w głośnem czytaniu język by stanął kołem, powtarza się stale i niejednokrotnie.

Jeśli od artykułu dziennikarskiego mamy prawo wymagać jakiej takiej polszczyzny, to cóż dopiero od książki i to książki o tych wysokich aspiracjach, co książka p. Augustynowicza!

Dr. K. R.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.